

# ŚWIADECTWA

---

## LATA OPOZYCJI

---

### BRONISŁAW KOMOROWSKI

absolwent Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, działacz opozycji antykomunistycznej, od 1976 r. współpracownik Komitetu Obrony Robotników i Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, drukarz i kolporter wydawnictw niezależnych, organizator demonstracji niepodległościowych, w 1979 r. założyciel oficyny Biblioteka Historyczna i Literacka. W stanie wojennym internowany, redaktor pisma podziemnego „ABC – Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”. W III RP polityk, poseł, w latach 1990–1993 wiceminister obrony narodowej, 2000–2001 minister. Członek władz Unii Wolności, Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego i Platformy Obywatelskiej, w latach 2007–2010 marszałek sejmu, od 2010 r. prezydent RP.

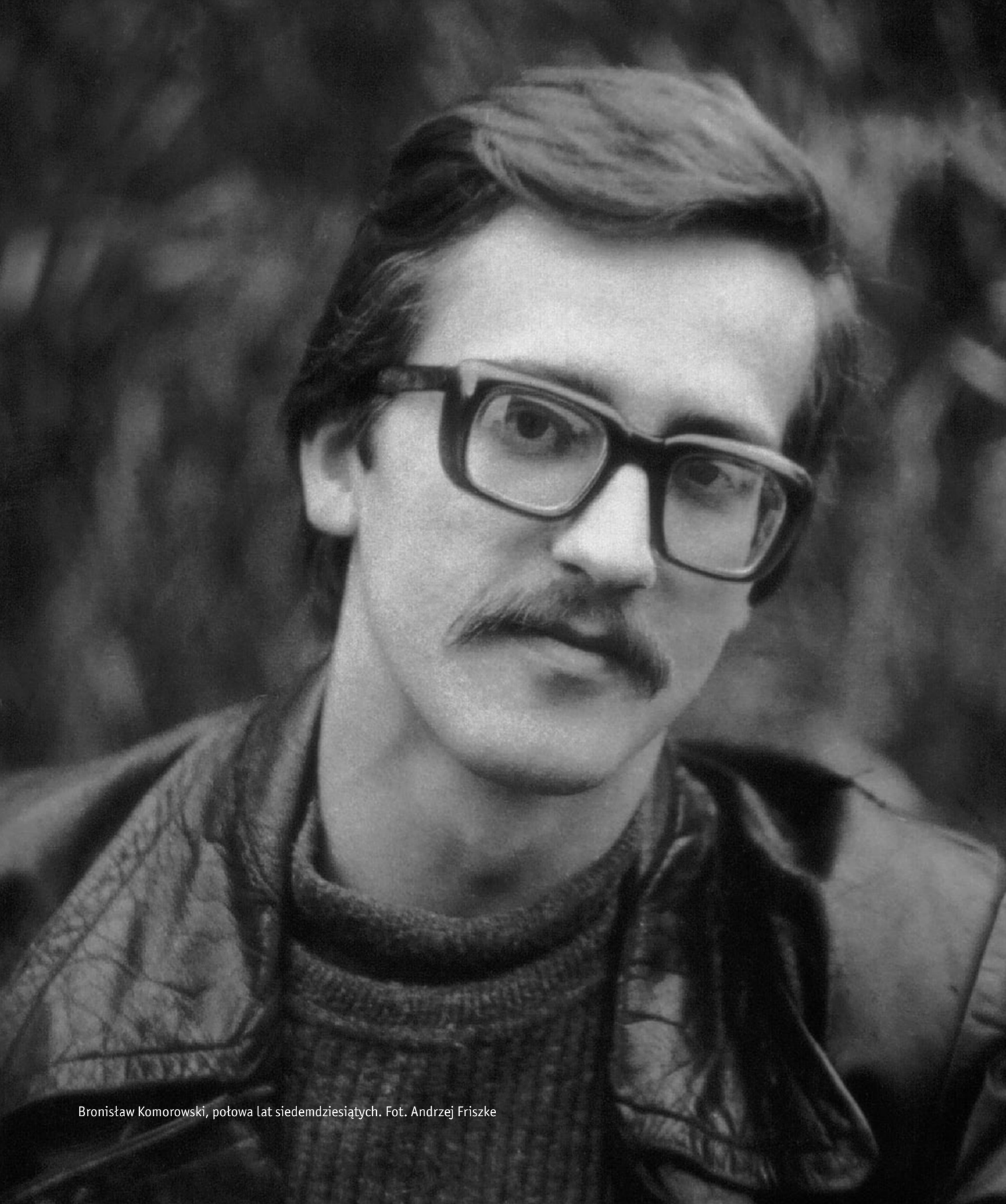
**Jan Skórzyński: Pański opozycyjny życiorys zaczyna się w szkole średniej. Brał Pan udział w demonstracjach Marca '68?**

**Bronisław Komorowski:** W marcu 1968 r. byłem uczniem pierwszej klasy XXIV Liceum Ogólnokształcącego w Warszawie na Kole. Znaczną część kadry nauczycielskiej stanowiły żony oficerów z pobliskiego Bemowa, co miało wpływ na atmosferę w szkole. Również znaczna część uczniów pochodziła z rodzin żołnierzy zawodowych.

O tym, że w mieście trwają studenckie demonstracje, dowiedzieliśmy się od nauczycieli wyjaśniających powód zamknięcia budynku na cztery spusty i zakaz wychodzenia na boisko w czasie przerw. W szkole już od paru dni rozmawiało się na temat syjonistów, rewizjonistów, antysemityzmu i ogólnie relacji polsko-żydowskich. Czuło się, kto jest z jakiego domu; kto jest pochodzenia żydowskiego, a kto od Moczara. Myślę, że duże znaczenie miała agitacja partyjna w wojsku, która przez rodziny wojskowe trafiała do naszej szkoły. Dla mnie rysujące się podziały nie były do końca zrozumiałe. Sam wyrastałem w tradycjach kresowego ziemiaństwa, gdzie Żyd był częścią tego samego krajobrazu społecznego, zdominowanego przez Litwinów. Był więc inną, ale jednak mniejszością, tak jak Polacy w litewskim morzu. W mojej rodzinie Żydów dzieliło się na naszych i tych obcych. Był też podział na Żydów polskich patriotów i tych stalinowców.

Dobrze zapamiętałem ważną dla mojego stosunku do osób pochodzenia żydowskiego rozmowę z moją mamą. Pracowała w tamtych latach w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W czasie pomarcowej nagonki przysłała do domu ze łzami w oczach, roztrzęsiona i mówiła o swoim znajomym docencie Grosie, że wyjeżdża, „a przecież to taki ciekawy człowiek i taki dobry Polak”.

W 1968 r. dziwiły mnie także wszelkie hasła „socjalizmu z ludzką twarzą”. Nic z tego nie rozumiałem. To nie były moje dylematy. Tym, co pobudziło moją wyobraźnię, było zdjęcie *Dziadów* z afisza Teatru Narodowego. Zdjęto moje *Dziady*, mego Mickiewicza, mego poetę z mojego Wilna. Namówiłem więc kolegę z klasy, Andrzeja Hermana (najlepszego klasowego matematyka i chemika), na ucieczkę ze szkoły i na udział w manifestacjach. Wskoczyliśmy z okna ubikacji na pierwszym piętrze i pobiegliśmy do mnie, do mieszkania przy ulicy Magistrackiej. Nie chcieliśmy iść na manifestację z gołymi rękami. Jak powstanie



Bronisław Komorowski, połowa lat siedemdziesiątych. Fot. Andrzej Friszke

narodowe to powstanie! Zrobiliśmy parę petard i świec dymnych, przygotowaliśmy dwa noże fińskie... i wtedy zadzwonił mój Ojciec.

Do dzisiaj nie wiem, jak to się stało, skąd Tata się domyślił, że zwiąłem ze szkoły, ale zadzwonił do domu z pracy. Rozmowa była krótka: „Pospiesz się, bo może się szybko skończyć!”. A my już w drzwiach. Po kieszeniach petardy i świece dymne, za paskami noże... Zdążyliśmy pod uniwersytet, ale już na samą końcówkę. Studentów wyparto m.in. na Nowy Świat, a potem niedobitki w Aleje Jerozolimskie. Jedni krzyczą coś o faszystach, inni coś o cenzurze, a my szukamy kamieni i rzucamy te nasze domowe petardy. Szło kiepsko, bo lont słabo się palił. Milicja szarżuje lub straszy i spycha nas w stronę ulicy Kruczej. My uciekamy, a gdy każdy ma już parę znalezionych kamieni w garści, odwracamy się i rzucamy. Wtedy milicja staje i czasami się cofa. Stale rzuca petardy z gazem łzawiącym. W pewnym momencie widzę, że Andrzej, który kiepsko biegał (genialny matematyk nie musi dobrze biegać), został w tyle. Dogania go samotny milicjant, chyba leje pałą i ciągnie w stronę milicyjnych szeregów. Pamiętam walkę, którą musiałem stoczyć sam ze sobą, nieomal sam siebie ciągnąc za kołnierz, by ruszyć Andrzejowi na ratunek. Nogi miałem jak z ółowiu, z trudem je odrywałem od jezdni, by wrócić i biec z pomocą w stronę kolegi. Pobiegłem, ale na moich oczach dobiegł następny milicjant, likwidując szanse na choć chwilowe uzyskanie przewagi i uwolnienie Andrzeja.

Potem dowiedziałem się, że Andrzej zdołał w budzie milicyjnej pozbyć się kompromitujących petard i noża. Po paru dniach mogliśmy zobaczyć go w kronice filmowej wśród innych sprząających kino Kultura, ponoć zniszczone przez demonstrantów. Andrzej Herman, nasz kolega szkolny, zmienił się w Andrzeja Hermasza, syna wysokiego funkcjonariusza Najwyższej Izby Kontroli (w domyśle pewnie syjonisty). Trzeba było go bronić na tyle, na ile mógł to zrobić uczeń pierwszej klasy. Znowu musiałem ciągnąć samego siebie za uszy, aby stanowczo, jako gospodarz klasy, w imieniu koleżanek i kolegów upomnieć się u dyrektorki o Andrzeja. Pewnie to nie miało jakiegokolwiek znaczenia, a o jego powrocie do szkoły zdecydowały zupełnie inne względy. Ważne było również to, że o Andrzeja toczyła się inna walka, na froncie czysto uczniowskim. Szef Związku Młodzieży Socjalistycznej (J.R. – późniejszy nomenklaturowy milioner) i jemu podobni atakowali syjonistów, albo po prostu „Żydów”, a my mówiliśmy o *Dziadach*, o koleżeństwie, o braku wolności. Czasem była to walka na argumenty, a czasem na pięści. Jednak przez następne lata klasa stanowiła zgrany zespół, poczuliśmy smak odwagi i solidarności.

### **Kiedy ta nieomal instynktowna, kierowana tradycjami rodzinnymi postawa przyjęła postać bardziej dojrzałą?**

Ta szczeniacka konspiracja po Marcu '68 miała już postać zorganizowaną. Brali w niej udział moi koledzy z XXIV Liceum na Kole. Dzięki nim miałem kontakt ze środowiskami młodzieży robotniczej Woli ze szkół zawodowych. Z tego liceum byli m.in. Wacek Psiurski, Marek Totwiński i Ludwik Janion, którego ojciec był kolegą mego taty z VI Brygady Wileńskiej AK. Myślę, że był to dla nas obu symbol wspólnoty walki ideowej, idącej przez pokolenia. Nasza grupa liczyła w sumie ze dwudziestu chłopaków. Należał do niej także Zdzisław Wrotniak z VIII LO im. Władysława IV. Z kolei przez Pawła Dangla poznałem grupę

z Mokotowa, którą tworzyli ludzie m.in. z drużyny harcerskiej Czarna Jedyńka i liceum im. Reyтана; wśród nich był Zbyszek Znosko. Zgodnie z zasadami konspiracji dbałem o to, aby te grupy się ze sobą nie kontaktowały. Potem, gdy już studiowałem, na początku zaocznie, przez Kazika Stembrowicza nawiązałem kontakt z grupą pomarcową, w której byli Konrad Bieliński, Kazik Wóycicki i Staszek Krajewski. Trochę nas rozczarowali, bo chcieli nas zapędzić do bezpiecznej formy opozycyjności, czyli samokształcenia, i kazali czytać w bibliotece różne przedwojenne pisma. Pamiętam, jak ze zdumieniem, ale karnie, wykonałem tę sugestię i przerobiłem kilka roczników pisma OMS Życie<sup>1</sup>, przybudówki przedwojennej partii komunistycznej. Kompletnie nie mogłem zrozumieć, o co tu chodzi, dlaczego mam się zajmować dyskusjami radykalnej komunizującej młodzieży przedwojennej, skoro chciałem robić powstanie narodowe przeciwko komunistom.

Kontakty z Konradem i Staszkiem urwały się z tego powodu na jakiś czas, natomiast przez męża mojej kuzynki Marka Barańskiego, także historyka, nawiązałem znajomość z Antkiem Macierewiczem. Dzięki temu trafiłem na spotkanie Gromady Włóczęgów<sup>2</sup> w Zalesiu, w domu profesorostwa Doroszewskich (dziadków Uli Doroszewskiej), i zaliczyłem swoje pierwsze aresztowanie. To był grudzień 1971 r. Tam też jedynym antykomunistycznym gestem było uczczenie minutą ciszy pamięci pomordowanych w rewolucji grudniowej na Wybrzeżu. Potem już była mowa tylko o ekumenii w Kościele. Ze względu na wspólne zatrzymanie zawiązały się bliższe relacje. Byłem potem na jeszcze jednym spotkaniu, ale do Gromady nie należałem. Dyskusje mnie za bardzo nie pociągały, wręcz irytowały jako próżne gadulstwo, bo tu przecież trzeba było czynu!

Moja grupa stała się obiektem swoistej opozycyjnej ewangelizacji prowadzonej przez Antka Macierewicza. Była w tym silnie obecna myśl zaczerpnięta z doświadczeń urugwajskiej partyzantki miejskiej Tupamaros, co mi wtedy szalenie odpowiadało. Antek dużo o nich opowiadał, choć nie sędzę, żeby stały za tym poglądy ideowe czy polityczne – była to raczej fascynacja metodą. Pasowało to zresztą do jego ówczesnego wyglądu, nosił się trochę jak Che Guevara. Nam to odpowiadało z uwagi na uczestnictwo naszych ojców w walce zbrojnej i dosyć radykalne postawy wyniesione z domów. Myśl o intelektualnym zwalczaniu systemu komunistycznego nas nie przekonywała, ale każdy pomysł na akcję bezpośrednią – zdecydowanie tak.

Podjęliśmy więc akcje ulotkowe – w rocznicę inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację, po samospaleniu się Ryszarda Siwca na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie.

### Jak robiliście te ulotki?

<sup>1</sup> Organizacja Młodzieży Socjalistycznej Życie – organizacja akademicka, utworzona w 1923 r. jako Związek Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej Życie, związana z Komunistyczną Partią Polski. Rozwiązana w 1938 r.

<sup>2</sup> Gromada Włóczęgów – klub dyskusyjny założony w 1969 r. przez instruktorów 1. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta, zwanej Czarną Jedyńką. Do twórców Gromady należeli Antoni Macierewicz, Wojciech Onyszkiewicz, Piotr Naimski, Andrzej Celiński, Janusz Kijowski. Organizowano cykliczne spotkania i dyskusje. Na spotkanie 11 XII 1971 w Zalesiu Dolnym wkroczyła Służba Bezpieczeństwa, zatrzymała i próbowała przesłuchać większość jego 31 uczestników (J. Skórzyński, *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Warszawa 2012, s. 39–41).

Najprymitywniejsze urządzenie to był „mały drukarz”, na którym robiliśmy z Wackiem Psiurskim i Lutkiem Janionem ulotki w maju 1968 r. Hasła były dwa. „Pomóżmy studentom na 1 maja” – bo nam się wydawało, że możemy ludzi zachęcić do ponownych demonstracji, w które mógł się przerodzić pochód pierwszomajowy. Drugie – „Precz z moskiewską dyktaturą”. Dwa proste hasła, które rozlepialiśmy na murach budynków na warszawskim Kole, gdzie wielu z nas mieszkało. Gdy na ulotce było więcej tekstu, stosowaliśmy metodę fotograficzną. Produkowałem to głównie z moim późniejszym szwagrem Maćkiem Bronarskim, który potem został zawodowym fotografem, ale to wychodziło bardzo drogo z uwagi na cenę papieru fotograficznego. Tańsze było przepisywanie na maszynie. O żadnej innej formie druku nie było wtedy mowy. Malowaliśmy również napisy na murach w rocznicę Grudnia '70 itp. Równolegle robiła to także grupa Gromady. Po latach dowiedziałem się, że z ich strony robił to Lutek Dorn, który był harcerzem. Inne akcje to zrywanie czerwonych flag i próba rozwieszania nekrologów Władysława Gomułki, urzędującego wtedy I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR.

Przykład Tupamaros skłaniał nas do myśli o akcji bardziej bezpośredniej, co stało się realne, gdy jednemu z kolegów z grupy wolskiej udało się kupić od jakiegoś złodzieja rewolwer. W grudniu 1972 r. zaplanowaliśmy więc zamach na milicjanta; nie zrobiliśmy go tylko dlatego, że nie mieliśmy amunicji. Wypatrzyliśmy już odpowiednie miejsce na rogu ulicy Obozowej i Młynarskiej, gdzie chodził milicyjny patrol. Ja miałem wykonać zamach, zostawić na miejscu kartkę z informacją, że to jest odwet za zamordowanie robotników podczas rewolucji grudniowej, a potem porzucić broń w wybranym grobowcu na cmentarzu ewangelickim i opłotkami uciec na Koło. Dziesięć lat później niemal w tym samym miejscu, na przystanku tramwajowym przy Obozowej, tacy sami chłopcy jak my wtedy zabili sierżanta Karosa<sup>3</sup>. Zapłacili za to straszną cenę więzienia, wyrzutów sumienia i marginalizacji na całe życie. W naszym przypadku na szczęście zadziałał Anioł Stróż. Matka kolegi znalazła rewolwer, wezwała męża, który młotkiem rozłupał broń na kawałki i utopił w gliniankach w parku Moczydło. Pamiętam moje zdziwienie, gdy w reakcji na mój meldunek o kupieniu rewolweru nasz Che Guevara zerwał z nami kontakt...

### **Nigdy nie wracaliście już do takich projektów?**

Nie, ta historia uodporniła mnie na takie pomysły. Poszedłem na studia na Uniwersytet Warszawski. Związałem się tam przyjaźnią z Łukaszem Kądziałą i Jackiem Michałowskim ze środowiska Klubu Inteligencji Katolickiej, które angażowało się wtedy w akcję listów protestacyjnych przeciwko zmianom w konstytucji. Moi rodzice podpisali jeden z tych listów, więc żył tym cały nasz dom i ja też pomagałem w zbieraniu podpisów. Wtedy poznałem

<sup>3</sup> Funkcjonariusz MO Zdzisław Karos został postrzelony w Warszawie 18 II 1982 przez grupę młodzieży, która próbowała go rozbroić; zmarł po kilku dniach. Uczestnicy akcji i ich koledzy, tworzący konspiracyjną grupę Polska Podziemna, zostali aresztowani. Aresztowano także ks. Sylwestra Zycha, ich opiekuna duchowego, który zgodził się na przechowanie broni. Po brutalnym śledztwie osiem osób stanęło w sierpniu 1982 przed sądem wojskowym. Zapadły najwyższe w stanie wojennym wyroki: Robert Chechłacz został skazany na 25 lat więzienia, Tomasz Łupanow na 13 lat, Stanisław Matejczuk i ks. Zych na 6 lat (T. Ruzikowski, *Stan wojenny w Warszawie i województwie stołecznym 1981–1983*, Warszawa 2009, s. 244–245).



wiele osób z późniejszej opozycji. Na jednym ze spotkań u Łukasza Kądzieli spotkałem znowu, po kilku latach przerwy, Antka Macierewicza.

**Obok zmian w konstytucji drugą sprawą, wokół której integrowała się młoda opozycja w połowie lat siedemdziesiątych, była obrona studentów Stanisława Kruszyńskiego i Jacka Smykała, prześladowanych za poglądy krytyczne wobec PRL wyrażone w prywatnych listach czy na zajęciach. Uczestniczył Pan w zbieraniu podpisów studenckich także w tej sprawie. Czy zauważył Pan powstający na uniwersytecie potencjał nonkonformizmu?**

Tak, bardzo wyraźnie. Szedłem na studia historyczne z poczuciem misji, po to, żeby poznać prawdę zakłamywaną przez komunistów i z myślą, że jest to forma przeciwstawienia się komunizmowi. Jeden z moich kuzynów, Staś Gregorowicz, absolwent historii, ostrzegał mnie, że się bardzo rozczaruję, bo na wydział przychodzą ludzie z normalnych katolickich rodzin, a opuszczają go jako ludzie niechodzący do kościoła, robiący kariery w partii. Nie chciałem się pogodzić z taką perspektywą, ale szedłem na studia z pewnym lękiem, że mi zabiorą duszę. Tymczasem okazało się, że to już jest inne pokolenie, inni ludzie. Bardzo szybko znalazłem z kolegami wspólnotę języka i poglądów. Z roku na rok było pod tym względem lepiej. Coraz łatwiej było przełamywać obawy u tych, którzy pozbawieni zaplecza środowiskowego nie chcieli ujawniać swojej postawy. Jak się do nich dotarło głębiej, podrapało, to okazywało się, że absolutna większość ma podobne do moich poglądy.

Najbliżej związałem się z Łukaszem Kądzielą. Przeprowadziliśmy razem piękną intrygę. Ukartowaliśmy mianowicie przejęcie przez naszą opozycyjną grupę kontroli nad wydziałowymi instytucjami życia studenckiego. Podzieliliśmy się rolami – on wystartował na funkcję szefa Rady Wydziałowej Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, a ja kandydowałem na prezesa Koła Naukowego Historyków. Obie operacje się udały. Już w tym oficjalnym charakterze wywiesiliśmy z Łukaszem na tablicy wydziałowej list w obronie Kruszyńskiego i Smykała. Zaowocowało to tym, że odezwał się do mnie Wojtek Fałkowski. Spotkaliśmy się pod kolumną Zygmunta. Był to kolejny kontakt z tym samym środowiskiem – harcerskim i historycznym.

**Koło Naukowe w Instytucie Historii było w dużej mierze niezależne, tworzyło załączek samorządu i ośrodek wydziałowej opozycji, jego władze studenci wyłaniali w autentycznych wyborach. Jak to się udało zrobić? Jacy profesorowie wam sprzyjali?**

Pomagali nam przede wszystkim asystenci – Marek Barański, Wojtek Fałkowski i Andrzej Rosner. Dwa elementy pozwoliły nam zdominować życie studenckie na wydziale: nasza ideowość oraz pewnie trochę atrakcyjność towarzyska, która w życiu studenckim zawsze odgrywa dużą rolę. Łukasz był wysoki, brodaty, ze swoim kikowskim zapleczem, ja trochę starszy od kolegów, bardziej dojrzały – razem uwodziliśmy koleżanki i kolegów i zachęcaliśmy do odpowiedniego głosowania w wyborach wydziałowych. Udało się; mogliśmy wykorzystywać te funkcje i przypisane do nich pieczętki do organizowania

np. spotkań na tematy bieżące. Dawało to naszym działaniom opozycyjnym stempel oficjalności i legalności. Ludzie nie bali się przychodzić na nasze spotkania, a jak raz przyszli, to nawiązywały się kontakty, rosła fala nonkonformizmu i grono osób zaangażowanych.

Jednak partia szybko się zorientowała, co naprawdę robimy, i zaczęło być gorąco. Zagrożono nam w wydziałowej organizacji partyjnej reprimendą rektora, którym był Zygmunt Rybicki, postać mało ciekawa, chociaż bratanek Józefa Rybickiego z późniejszego Komitetu Obrony Robotników. Na tę rozmowę poszedł ze mną prof. Henryk Samsonowicz, który był opiekunem Koła Naukowego. Jego obecność stanowiła pewną osłonę, utrudniała ukaranie mnie, toteż rozmowa przebiegła w tonie umiarkowanym i zakończyła się niegroźnie. Ostrzeżono mnie jedynie, abyśmy zachowywali się rozsądnie, żeby nie sprowokować jakiegoś nieszczęścia, np. relegacji ze studiów. Nigdy się tego nie mówiło wprost, wiedziałem jednak, że mamy na wydziale nad sobą parasol ochronny prof. Samsonowicza, ale zdawałem też sobie sprawę, że nie mogę przegiąć. Prowadziliśmy więc w kole historyków – jako opozycyjna jacejka – cichą pracę formacyjną, pokazywaliśmy np. stare niemieckie filmy dokumentalne, które miały wydźwięk antysowiecki. Był też klub dyskusyjny, spotkania tak planowaliśmy, żeby coś z nich wynikało dla kształtowania postaw.

Oczywiście, prowadziliśmy także normalną pracę koła naukowego, robiliśmy kwerendy, jeździliśmy po parafiach na Podlasiu czy Mazowszu, organizowaliśmy sesje naukowe. Na jednej z takich sesji w Rogowie koło Łodzi bodaj w 1974 r. poznałem człowieka, z którym potem długie lata działaliśmy w opozycji. Przyjechała wtedy grupa studentów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Zazwyczaj pojawiali się tylko ludzie z państwowych uczelni, np. z Wojskowej Akademii Politycznej, na których ja zresztą patrzyłem podejrzliwie, jak na komunistycznych agentów, a potem się okazało, że to fajni chłopcy. Natomiast studenci z KUL-u to był ewenement. Siedzimy z nimi i dyskutujemy niby na tematy historyczne, ale za każdą dyskusją o historii najnowszej kryły się współczesne dylematy polityczne. Dyskusję prowadził Andrzej Garlicki. Widzę, że jeden ze studentów KUL-u coraz bardziej przestępuje z nogi na nogę, a w pewnej chwili mówi: „No dobra, to o historii już porozmawialiśmy, a teraz powiedzcie, macie jakąś konspirację na uniwersytecie czy nie?”. Przy Garlickim i innych profesorach! A ja przecież mam konspirację. Więc mnie zatkało i myślę sobie: prowokator, na pewno coś o mnie wiedzą i chcą mnie sprowokować. Ale patrzę na niego, oczy poczciwe, nie, niemożliwe. Zabrałem go na spacer i mówię: „Co ty robisz?”. A on: „Bo mnie to denerwuje, u nas już dawno się zorganizowaliśmy”. To był Marian Piłka. A zorganizował ich w Lublinie chyba Bogdan Borusewicz. Skupili się zaś wokół seminarium Władysława Bartoszewskiego.

Zawarliśmy porozumienie i aby to przypieczętować, wymieniliśmy się książkami. On mi dał jakąś książkę katolicką, a ja mu dałem książkę Andrzeja Micewskiego. Potem przez wiele lat się z tego natrzęsaliliśmy: na dowód tego, że jesteśmy prawdziwymi konspiratorami, daliśmy sobie legalnie wydane, koncesjonowane książki. Szkoda, że polityka w III RP tak bardzo nas z Marianem poróżniła i rozdzieliła.

**Kto poza Łukaszem Kądziałą tworzył wraz z Panem grupę niepokornych na wydziale?**

Kazik Stembrowicz, Krzysztof Łazarski, Andrzej Krawczyk, Wojtek Kriegseisen, Andrzej Rosner, Tadzio Cegielski, a z młodszych Andrzej Friszke, Marek Kunicki-Goldfinger. To było spore grono połączone więzami nawet nie wprost politycznymi, ale towarzyskimi.

**Służba Bezpieczeństwa odnotowała Pana wystąpienie 30 marca 1977 r. w Instytucie Historycznym UW na spotkaniu z Jaremą Maciszewskim, szefem Wydziału Nauki w Komitecie Centralnym, również historykiem. Mówił Pan, powołując się na „Komunikaty” KOR, o represjach wobec robotników, o akcji bezpieki przeciwko studentom, braku obiektywnej informacji o sytuacji politycznej w kraju, np. przemilczaniu przez oficjalne media listu Jacka Kuronia do lewicy na Zachodzie.**

Spotkanie z Maciszewskim było rezultatem przeprowadzonej przeze mnie i Kądzielę intrygi. Postanowiliśmy pójść do niego jako do posta ziemi radomskiej na sejm, ale także jako profesora historii cieszącego się dobrą opinią naukową. Wystąpiliśmy – Łukasz jako szef SZSP na wydziale, ja jako prezes Koła Naukowego – z prośbą, aby przyszedł i wyjaśnił, co się właściwie dzieje w Radomiu. „Dochodzą do nas – mówiliśmy – informacje, które bulwersują studentów, o tym, że ludzie są wyrzucani z pracy i bici na komisariatach, że są »ścieżki zdrowia«. Nam się nie chce w to wierzyć – choć wiedzieliśmy doskonale, jak jest naprawdę, bo przecież sami jeździliśmy do Radomia z pomocą dla rodzin represjonowanych robotników – ale wielu studentów jest kompletnie zdezorientowanych. Czy mógłby pan – mówimy więc do Maciszewskiego – wytłumaczyć studentom, jak się sprawy mają?” On odpowiada: „Dobrze”.

Zorganizowaliśmy zebranie w siedemnastce, największej sali na wydziale. Przyszła masa studentów, było bardzo burzliwie. Zaczął ostro Łukasz, a ja – zgodnie z podziałem ról – w tonie bardziej ugodowym prosiłem o wyjaśnienia. Maciszewski oczywiście zaprzeczył wiadomościom o maltretowaniu robotników, zaczął się wykręcać. Wtedy powiedziałem: „Panie profesorze, jeżeli to jest nieprawda, to czy pan przyjmie rodziny poszkodowanych robotników?”. On, kompletnie nieprzygotowany na takie pytanie, odpowiedział: „Tak, oczywiście! Ale to nieprawda!”. No to ja powiedziałem, że zorganizujemy takie spotkanie, to pan profesor się więcej dowie. I taki był koniec tego zebrania. Maciszewski wezwał nas zaraz potem do gabinetu i powiedział bez ogródek: „Udało się wam wpuścić mnie w maliny, ale żebyście nie mieli wątpliwości, traktuję was odtąd jak wrogów politycznych. I ostrzegam: zbieracie pieniądze dla tych z Radomia, a przecież wam też są potrzebne, więc prędzej czy później któryś z was je ukradnie...”. Poczuję się wówczas tak, jakbym dostał w twarz. Nie dlatego, że powiedział, że jest moim wrogiem, bo to nas nobilitowało, ale że podejrzewa, że któryś z nas ukradnie te pieniądze. Powiedziałem tylko: „Panie profesorze, to są zupełnie inne doświadczenia pokoleniowe”.

Sprawa ta powróciła do mnie, gdy w 1989 r. jako dyrektor gabinetu ministra Aleksandra Halla w rządzie Tadeusza Mazowieckiego przyjmowałem grupę historyków powołaną jeszcze przez Jaruzelskiego do sprawy Katynia. W tym gronie był prof. Maciszewski – syn oficera zamordowanego w Katyniu. Pamiętam myśl, że w ludzkich



ścieżkach nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Zrobiło mi się nawet trochę wstyd za to, że wtedy, w 1977 r., zastawiliśmy na niego pułapkę.

### **Jakie wrażenie wywarły na Panu protesty czerwcowe w Radomiu i Ursusie?**

Latem 1976 r. byłem za granicą. Pierwszy raz (i na długie lata ostatni) dostałem paszport i z moją ówczesną narzeczoną, a obecnie żoną, pojechaliśmy zarobić pieniądze na to, by kupić mieszkanie i się pobrać. Pracowaliśmy w jakimś gasthofie w Tyrolu. Po informacji o strajkach zrezygnowaliśmy z dalszych planów turystycznych i wcześniej wróciliśmy do Polski. Nie znałem żadnych szczegółów, tylko tyle, ile było w radio i prasie niemieckiej. Ale zareagowaliśmy w ten sposób: coś się dzieje, to wracamy do Polski.

Jak przyjechałem do Warszawy, to była już zupełnie zmieniona rzeczywistość. Natychmiast skontaktowałem się z Łukaszem Kądzielą i pojechaliśmy razem na spotkanie z Mirkiem Chojeckim. W jakimś pustym mieszkaniu na Piaskach Mirek siedział na materacu i przyjmował adeptów do akcji pomocy w Radomiu. Patrzę, a obok siedzi mój przyjaciel z harcerstwa Tomek Dangel. Nastąpiło radosne powitanie; okazało się, że wszystkie moje wcześniejsze kontakty – studenckie, kikowskie, konspiracyjne, historyczne, harcerskie – pojawiły się w nurcie KOR-u. Znajomych z tych środowisk spotykałem najpierw u Mirka Chojeckiego, a potem u Zosi i Zbyszka Romaszewskich, do których przywoziłem mel-dunki z Radomia. Za ich pośrednictwem nawiązałem potem kontakt m.in. z Adamem Piechowskim.

Pierwszy raz pojechałem do Radomia dosyć wcześnie, chyba we wrześniu 1976 r. Jeździłem tam autostopem na zmianę z Łukaszem. W Radomiu mieszkała moja ciotka Zofia Majewska. Ciotka, stara konspiratorka, z wyrokiem sowieckim, do końca życia żyła pod fałszywym nazwiskiem – najpierw bo musiała, a potem bo już się przyzwyczaiła. Miałem u niej na ulicy Moniuszki metę, mogłem tam nocować, zostawiać papiery, pieniądze, wszystko. Obok mieszkała pani Krysia Dzierżanowska, później szefowa miejscowego KIK-u, a wtedy dyrektorka jednej ze szkół – dzięki niej budowałem sobie kontakty w Radomiu. Jeszcze ważniejsze było to, że na parterze mieszkała rodzina Rejczaków. Janek Rejczak, którego ciocia uczyła języków, pracował w Wyższej Szkole Inżynierskiej, miał kontakty w radomskich zakładach przemysłowych i przez niego łatwiej było dotrzeć z pomocą do robotników. Potem został jednym z szefów radomskiej Solidarności.

Te kontakty przekazałem później Łukaszowi, z którym się umówiliśmy, że on będzie jeździł do Radomia, a ja zajmę się pracą na wydziale. Na procesy nie jeździłem, bo nie chciałem się dekonspirować. Moje wyprawy radomskie trwały do czasu wypadku samochodowego Wojtka Onyszkiewicza i Krzysia Łazarskiego, też kolegi z wydziału, historyka. W maju 1977 r. zderzyli się z samochodem, którym jechała rodzina Jana Brożyny, jednej z ofiar represji poczerwcowych, i rozbili nowy samochód pożyczony od Tymowskich. Wylądowali w szpitalu w Radomiu, ja do nich tam jeździłem i w ten sposób się w pełni zdekonspirowałem.

**Na początku 1977 r. na Uniwersytecie Warszawskim zbieraliście podpisy pod apelem do sejmku o powołanie specjalnej komisji poselskiej do zbadania i ujawnienia przypadków naruszania prawa przez organa porządku publicznego oraz pełnych rozmia-**

**rów represji przeciwko uczestnikom demonstracji czerwcowych. Apel poparła jedna czwarta studentów historii. W marcu w kancelarii sejmu złożono pismo z podpisami 730 studentów UW. To bardzo dużo.**

Tak, z takimi inicjatywami wchodziło się wówczas jak w masło, bo ludzie chcieli zareagować. Bali się bardziej radykalnej formy opozycji, ale upominanie się o sprawiedliwość, o prawdę, o uczciwość już nie wywoływało paniki, łatwo spotykało się z akceptacją.

**W KOR-ze współpracował Pan najbliżej z Antonim Macierewiczem, Piotrem Naimskim i Wojciechem Ziemińskim. Czy współpraca z ludźmi z „Głosu” wynikała po prostu z dawnej znajomości z Macierewiczem? Czy była to także jakaś wspólnota poglądów?**

Gdy zaczynałem z nimi współdziałać, nie tworzyli jeszcze grupy „Głosu”, postrzegałem ich po prostu jako harcerzy w KOR-ze. A ja z harcerstwa wyniosłem jednak pewną obolałość w stosunku do Jacka Kuronia. Toteż łatwiej było mi się porozumieć z Antkiem Macierewiczem, którego lokowałem w nurcie prawowitej tradycji harcerskiej. Choć przypuszczam, że i Macierewicz w moich oczach był wtedy lewakiem...

Potem ewoluowałem w stronę uznania innych tradycji niż moja własna, ale nie był to szybki proces. Wobec Janka Dworaka musiałem np. przekroczyć barierę niechęci do jego odmiennej tradycji rodzinnej – endeckiej, podczas gdy ja byłem z tradycji konserwatywno-piłsudczykowskiej. Taką samą barierę musiałem pokonać wobec osób o proveniencji rewizjonistycznej. Pełną jedność z opozycjonistami wywodzącymi się z tej tradycji, pomimo różnic w genealogiach politycznych i rodzinnych, poczułem dopiero w czasie internowania. Na początku w relacjach z niektórymi ludźmi z KOR-u musiałem się trochę przełamywać.

**W marcu 1977 r. powstała druga obok KOR-u grupa opozycyjna – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Jak Pan do niej trafił?**

Ze względu na wcześniejsze przyjaźnie współdziałałem głównie z tzw. młodym KOR-em. Ale niewątpliwie ponosił mnie trochę temperament polityczny, w inną stronę pchała też tradycja rodzinna. Swoje poglądy określaliśmy wtedy, odwołując się do postaci historycznych – ja byłem od marszałka Piłsudskiego. Na pewno nie byłem narodowcem ani rewizjonistą – dla mnie to były obszary zupełnie obce. Marzyłem o walce o niepodległość Polski, traktowałem działanie społeczne i zaangażowanie na rzecz ludzi buntujących się jako jazdę tramwajem, który ponownie zakończy bieg na przystanku niepodległość. To było dosyć proste skojarzenie natury historycznej. Oczywiście, bardzo ważna była sama pomoc drugiemu człowiekowi, ale szło też o to, aby mobilizować do działania, budować różne formy oporu, przełamywać bariery lęku. Stąd harcerstwo, które było moją pasją, ale także metodą zmierzania do celu, jakim było pobudzenie społeczeństwa do oporu przeciwko komunizmowi. Podobnie wszystkie działania na uniwersytecie.

Gdy w 1977 r. powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mój ojciec spotkał się z Leszkiem Moczulskim. Tata miał bardzo radykalne poglądy, a ja w jego oczach byłem jego

żołnierzem, więc mobilizował mnie, abym czym prędzej robił to powstanie, a przynajmniej poszedł do partyzantki albo coś przyzwoicie wysadził w powietrze. Przerazało to moją mamę, ale ja w ten styl myślenia wchodziłem z ochotą, bo taka była rodzinna tradycja. Ojciec patrzył z pewnym niepokojem na moje korowskie kontakty z jakimiś rewizjonistami, a Moczulski mu się bardzo spodobał. „Nareszcie – mówił – nareszcie coś zaczyna się dziać, są ludzie, którzy mówią o niepodległości”.

Po tej rozmowie przyszedł do mnie ówczesny adiutant Moczulskiego Janek Dworak. Mieliliśmy już wtedy z Anią własne mieszkanie, ale w domu panował styl dość bałaganiarski, bo całe to korowskie towarzystwo przychodziło i siedziało godzinami, wszystko z lodówki wyzerano, ktoś otwierał wino, ktoś grał na gitarze, ogólnie luz. A tu raptem przychodzi dwóch młodych ludzi od Moczulskiego – Janek Dworak i Piotrek Krawczyk. Moja żona, która jest osobą dość pryncypialną, źle znosiła ten luzacki styl. Tolerowała to, ale opinię miała negatywną o tym całym opozycyjnym bajzlu. A tu ci wchodzi, przedstawiają się, młodą panią domu całują w rączkę, elegancko ubrani, kulturalna rozmowa, dostali herbaty, podziękowali, kontakty zostały nawiązane i poszli, bez żadnego zasiadywania się. Anka mówi: „No wiesz, co? Są jednak dobrze wychowani ludzie na tym świecie, z nimi trzeba trzymać”.

Przyszli do mnie jako emisariusze tajnej organizacji Nurt Niepodległościowy, do której nie przystąpiłem. Działiałem przy KOR-ze, więc uważałem, że mi nie wypada konspirować. Sądziłem, że trzeba działać jawnie, sam zresztą byłem już jawniakiem, więc to nie miałoby sensu. Sądziłem także, że mogę odegrać rolę łącznika towarzyskiego pomiędzy środowiskiem młodego KOR-u a Ruchem Obrony. Nie miałem problemu wyboru: czy tu, czy tam. Chciałem w maksymalnie możliwym stopniu być i tu, i tam. O tym wiedzieli ludzie z Ruchu Obrony i koledzy z młodego KOR-u – że ja współdziałałem i z jednymi, i z drugimi. Dobrze się z tym czułem, mając więzi towarzyskie raczej w środowisku korowskim, a rosnące więzi ideowe, niepodległościowe z Ruchem Obrony. Starłem się nie wdawać w żadne rozgrywki i spory wewnętrzne w środowiskach.

### **Z kim w ROPCiO współpracował Pan najbliżej?**

Najbliżsi mi byli Janek Dworak, Piotrek Krawczyk, Marian Piłka, a potem Wojtek Ziemiński, który był przecież także członkiem założycielem KOR-u. Andrzeja Czumę ceniłem, ale nie rozumiałem, o co się kłóć z Ziemińskim czy Moczulskim. Dla mnie było ważne dobre nazwisko, postać gen. Czumy, tradycja walki o niepodległość i legenda organizacji Ruch. Szczególnie ta ostatnia. Pamiętam swoje zdumienie, gdy przeczytałem w 1971 r. w „Kulisach” maciusieńką notatkę, że sąd skazał grupę Andrzeja Czumy za działalność nielegalną przeciwko państwu. Jak to zobaczyłem, to aż mnie dźgnęło i pomyślałem, że muszę się z nimi skontaktować. Przecież wszystkich nie mogli aresztować, bo to jakaś potężna organizacja. Szukałem więc kontaktu z resztkami Ruchu i prosiłem sobie wyobrazić, że znalazłem! Miałem kolegę jeszcze ze szkoły podstawowej w Pruszkowie, Piotrka Mijasa, którego matka pracowała w jakimś instytucie rolniczym związanym ze Szkołą Główną Gospodarstwa Wiejskiego. On się dowiedział od matki, że dwóch młodych pracowników Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach przesłuchiowano w sprawie Ruchu. Dotarłem do

nich przez pośrednika, ale oni byli tak przerażeni, że oczywiście wszystkiego się wyparli; dopiero po latach dowiedziałem się od Stefana Niesiołowskiego, że trafiłem, rzeczywiście to byli ci, którzy pozostali na wolności. Musieli się dziwnie poczuć. Z trudem się wykręcili od podejrzeń bezpieki, a tu nagle zgłasza się do nich ktoś, kto chce nawiązać kontakt. Prawdopodobnie potraktowali to jako esbecką prowokację. Ale mam do dziś satysfakcję, że ich znalazłem, choć było to szukanie igły w stogu siana.

**10 lutego 1978 r. policja przeprowadziła nalot na wasze mieszkanie. Strzał był celny – podczas rewizji wpadła drukarnia „Głosu”. SB znalazła powielacz, matryce, papier, 2 tys. wydrukowanych już stron numeru trzeciego „Głosu” oraz inne wydawnictwa opozycyjne. Na domiar złego w trakcie przeszukania wszedł Marian Piłka z matrycami. Wszyscy – Pan, żona i Piłka zostaliście zatrzymani. SB zapisała, że Bronisław Komorowski odmówił wszelkich wyjaśnień. Wedle notatki z tego przesłuchania powiedział Pan, że „nie czuje się związany ani z KSS KOR, ani ROPCiO, aczkolwiek większość ich postulatów popiera”, a także „że w Polsce powinna być partia opozycyjna i zniesiona cenzura. Wśród jego wypowiedzi było wiele akcentów antyradzieckich” – zapisał funkcjonariusz. Jak Pan to pamięta?**

Włączyłem się w pracę dla „Głosu”, bo na początku miał kłopoty z drukiem. Chciałem udzielić im pomocy jako pismu korowskiemu, zgodnie z zasadą współpracy z obydwoма głównymi grupami opozycji. Janka Dworaka też namawiałem, aby nie dać się przypisać tylko do Ruchu Obrony. W tym znaczeniu pomoc „Głosowi” była pomocą udzieloną przez nas KOR-owi. Drukowaliśmy pismo w naszym mieszkaniu. Aż przyszła policja i nasz wielki majątek opozycyjny – powielacz – przepadł. Ale nie była to drukarnia „Głosu”, tylko nasza, tzn. środowiska późniejszej Biblioteki Historycznej i Literackiej. Nasz powielacz i nasze ryzyko.

### **Skąd mieliście powielacz?**

Skąd pochodził ten, na którym drukowaliśmy „Głos”, nie pamiętam. Drugi powielacz kupiliśmy w Bydgoszczy z pomocą koleżanki Mariana Piłki z KUL-u. Kupiliśmy go od starszego pana, który miał zakład naprawy maszyn do pisania. Zapłaciliśmy gotówką, on wiedział doskonale, komu to sprzedaje i po co. Stary cyklos, elektryczny powielacz białkowy. Z Piotrkim Krawczykiem przywozłem go do Warszawy. To była nasza duma. Wymagał jednak naprawy i dorobienia drobnych brakujących części. Pomógł nam wtedy Janusz Krzyżewski, były działacz Ruchu. Pracował w zakładach Skala i miał dostęp do precyzyjnych obrabiarek.

Powielacz ten pracował w różnych miejscach. Na poprzednim drukowaliśmy w moim mieszkaniu na ulicy Bruna. To była sytuacja awaryjna. Nie było to zbyt bezpieczne, ale wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie Paweł Miłkasz, który był agentem i doniósł policji, że powielacz stoi u mnie. Jak przypuszczam, udałoby się nam wydrukować cały nakład, bo paradoksalnie w mieszkaniu już parokrotnie rewidowanym, w którym wcześniej zostali aresztowani ludzie, było najciemniej – trochę jak pod latarnią. Codziennie w nocy po

zakończeniu pracy wynosiliśmy powielacz przez drugą klatkę schodową i raczej by nas nie złapali, gdyby nie ten bezpośredni donos.

### **W jakich działaniach ROPCiO brał Pan udział?**

Z założenia nie brałem udziału w spotkaniach ogólnopolskich Ruchu Obrony. W akcjach ROPCiO uczestniczyłem na takich samych zasadach jak w KOR-ze – zbierałem podpisy, uczestniczyłem w kolportażu itp. Potem zaczęły się manifestacje, ale to już był raczej wkład naszej grupy do środowiska ROPCiO. W 1979 r. założyliśmy z Marianem Piłką, Janem Dworakiem, Piotrem Krawczykiem, Wojciechem Hardtem i Grażyną Houwałt własną oficynę niezależną – Bibliotekę Historyczną i Literacką. Dołączyli do nas szybko m.in. Krzysztof Dowgiałło, Adam Chajewski i Tadeusz Wachnik. Później także Andrzej Krawczyk, Ula Stasik, Joanna Matlak i Krzysztof Gordon – aktor z teatru Wybrzeże w Gdyni. Zebranie założycielskie odbyło się w Grodzisku Mazowieckim, w domu Maryli i Wojtka Hardtów. Nie traktowaliśmy tego jako aktywności w ramach Ruchu Obrony, staliśmy wyraźnie osobno. Chcieliśmy się dystansować od sporów między Moczulskim, Czumą i Ziemińskim. Dworak, Piłka i Krawczyk wycofali się nawet z tego powodu z uczestnictwa w ROPCiO, ja nie musiałem się wycofywać, gdyż nigdy do Ruchu Obrony nie wszedłem.

### **Czym Bibliotekę Historyczną i Literacką miała się różnić od innych niezależnych oficyn? Jaki był jej profil?**

Myślę, że to zasługa Janka Dworaka. Chcieliśmy odejść od spraw bieżących i prostej propagandy, wydawać książki i publikacje nastawione na pogłębianie wiedzy, kształtowanie poglądów i postaw, a nie tylko podyktowane wymogami walki politycznej, gdzie najważniejsze jest to, jak ostro się mówi. Stąd dobór tytułów: wiersze Czesława Miłosza, *Na probostwie w Wyszkowie* Żeromskiego, dużo rzeczy historycznych, np. o wileńskiej AK. Chcieliśmy, aby mieściło się to w nurcie spokojnych działań na rzecz niepodległości, ze świadomością potrzeby mobilizowania ludzi, ale bez ostrych haseł propagandowych, bo w tym specjalizował się wówczas Moczulski. Dystansowaliśmy się też trochę od tonu bogoojczyźnianego, jaki dominował w Ruchu Obrony, zwłaszcza w wydaniu Wojtka Ziemińskiego. Myśmy Wojtka lubili, ale chcieliśmy robić to inaczej. Wydrukowaliśmy np. tekst Stefana Kurowskiego *Doktrynalne uwarunkowania kryzysu gospodarczego w Polsce*. Mogę więc powiedzieć, że jako pierwsi w opozycji wydawaliśmy książki propakalistyczne. Kurowski, niezależnie od jego późniejszych politycznych ekstrawagancji, był wówczas ekonomistą o poglądach jednoznacznie wolnorynkowych, co było wtedy absolutnym ewenementem. Jeszcze w obozie internowania wszyscy mówili o naprawie gospodarki socjalistycznej.

### **Jak wyglądała baza techniczna BHil? Gdzie drukowane były wasze książki?**

Poza powielaczem używaliśmy też wałków i kopioramek, a co najważniejsze, mieliśmy dostęp do drukarni państwowych – tzw. dojsćcia. Były one głównie zasługą Tadeusza



Wachnika, który pracował w Krajowej Agencji Wydawniczej, miał kontakty w drukarni i doświadczenia, także potem, w stanie wojennym. Trudno przecenić jego aktywność i zaangażowanie. Był ojcem naszej harcerki Moniki.

Gdzie drukowaliśmy? Między innymi u Adama Chajewskiego z wydziału chemii Uniwersytetu Warszawskiego, który był siostrzeńcem prof. Pieniążka, kawalerem, mieszkał w niewykończonym domu w Aninie, gdzie zawsze coś było – albo drukarnia, albo skład papieru, albo magazyn książek. Ten lokal został zagrożony dopiero w stanie wojennym, gdy bezpieka rozpracowywała Liberalno-Demokratyczną Partię Niepodległość. Gdy Jerzy Targalski, lider tej grupy, wyjechał za granicę, szefem LDPN został Norman Pieniążek, sąsiad i kuzyn Chajewskiego. Wkroczenie SB do Pieniążka zagroziło naszej drukarni, która znajdowała się w sąsiednim domu. Adam Chajewski zakopał wtedy w nocy „towary”, m.in. wydruki *Utopii u władzy* Aleksandra Niekricza i Michała Hellera, a lokal musieliśmy uspić. Ale o ile wiem, nigdy nie został w pełni rozpracowany.

Rewizja u Pieniążków miała swój anegdotyczny finał. Następnego dnia u pani profesorskiej zameldowało się z kwiatami i przeprosinami dwóch esbeków. Bo nic nie znaleźli, a prof. Pieniążek podobno interweniował u swego kolegi Henryka Jabłońskiego, też profesora, ale i przewodniczącego Rady Państwa.

Inną metę mieliśmy w willi na Sadybie. *Na probostwie w Wyszkowie* drukowałem na Tarchominie, w przeznaczonym do rozbiórki domu, już opuszczonym. Drukowaliśmy razem z Krzysztofem Łazarskim. Inny adres to domek fiński w rejonie, gdzie dziś jest ambasada Hiszpanii. Mieszkała w nim ciotka mojego przyjaciela z harcerstwa Stasia Czopowicza, ale już się wyprowadziła, bo dom miał być rozebrany – świetne miejsce na drukarnię. Obsługiwali ją głównie moi koledzy z harcerstwa: Witek Górczyński, Staszek Czopowicz, Zbyszek Czopowicz, Jacek Łach, Mariusz Rakowski.

**Policja nie wiedziała, że się Pan zajmuje BHiL. Nie ma tej informacji w Pana teczce, choć sprawę operacyjnego rozpracowania założono Panu w październiku 1977 r., a w czerwcu 1979 r. zainstalowano w mieszkaniu podstuch. Domyślał się Pan tego?**

Zakładałem, że jest. Wiedziałem, że podstuch był w mieszkaniu rodziców. Ja od 1977 r. mieszkalem poza domem rodzicielskim, ale zameldowałem się w moim mieszkaniu na Bruna dopiero w 1978 r. Wcześniej mieszkalem jeszcze u mojej siostry Marysi Bronarskiej w Radości, gdzie organizowałem spotkania młodego KOR-u i gdzie jesienią 1976 r. wkroczyła policja. Podstuch u mnie działał nawet w czasie legalnej Solidarności.

**W 1978 r. zaczęły się w Warszawie opozycyjne demonstracje. Manifestacja 11 listopada, w sześćdziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, była udana, co przyznawali nawet Jacek Kuroń i Jan Józef Lipski, raczej niechętni tej formie ekspresji poglądów opozycyjnych. W następnym roku sezon patriotycznych demonstracji rozpoczął się 31 lipca, gdy po mszy w katedrze wraz z Marianem Piłką złożyliście na Grobie Nieznanego Żołnierza wieniec z napisem „Powstańcom Warszawy – Młodzież Polska”. 1 września 1979 r., w rocznicę wybuchu wojny, zorganizowaliście manifestację, podczas której ogłoszono powstanie Konfederacji Polski Niepodległej.**

To było dla nas całkowite zaskoczenie, gdy zza naszych pleców wyłoniły się transparenty KPN-u. My, czyli środowisko Biblioteki Historycznej i Literackiej, napracowaliśmy się nad organizacją tej manifestacji, a oni ją przechwycili. Ludzie Leszka Moczulskiego przyszli na gotowe i bez naszej zgody podłączyli się ze swoimi transparentami. W oczach opinii publicznej wyszło na to, że to my zakładaliśmy KPN..

Inicjatywą naszego środowiska były akcje cmentarne na Powązkach Wojskowych. Najpierw z inicjatywy Wojtka Ziemińskiego, a potem już na własną rękę przeprowadziliśmy parę akcji wokół tzw. dołka katyńskiego. Później zostało to twórczo rozwinięte przez środowisko KPN-u. Naszym pomysłem było popularyzowanie miejsca po drugiej stronie pomnika Gloria Victis jako miejsca pamięci o ofiarach terroru powojennego (teraz są tam groby dowódców ZWZ-AK).

Przed 1 listopada 1979 r. nie było łatwo wspiąć się na rosące tam brzozy, by zawiesić długie i szerokie szarfy w barwach narodowych z odpowiednimi napisami. Mój przyjaciel Piotrek Krawczyk do dziś mi wypomina, że wspinałem się po jego plecach, a jak twierdzi nie byłem przesadnie lekki. Dzisiaj pewnie nie dalibyśmy już rady i to nie tylko dlatego, że brzozy znacznie urosły od tamtego czasu.

### **Największa i najgłośniejsza była demonstracja w Święto Niepodległości – 11 listopada 1979 r. Jak się do niej przygotowywaliście?**

Pierwsza, skromna demonstracja 11 listopada odbyła się jeszcze w 1977 r., gdy Wojtek Ziemiński odśpiewał tablicę poświęconą Orłętom Lwowskim w katedrze warszawskiej. Wtedy ja ze Staszkiem Czopowiczem w czapkach harcerskich stanowiliśmy wartę honorową. Rok później, w 1978 r., postanowiliśmy zorganizować niewielką demonstrację polegającą na przejściu z katedry św. Jana pod Grób Nieznanego Żołnierza. To się udało, milicja była zaskoczona i chyba nie chciała interweniować z uwagi na religijno-patriotyczny charakter uroczystości. W następnym roku przygotowaliśmy się już lepiej, ale bezpieka też. Na bardzo prymitywnej maszynie drukarskiej, z czcionką składaną ręcznie, wydaliśmy śpiewniczek pieśni patriotycznych, bo lepiej się maszeruje śpiewając. Były też przygotowane pochodnie i flagi. Robiliśmy to wspólnie z Andrzejem Czumą i Wojtkiem Ziemińskim. Umówiliśmy się, że my z Ziemińskim zawiadamiamy ludzi o manifestacji za pomocą plakatów i klepsydr, a Czuma załatwia nagłośnienie.

Bezpieka próbowała nas wcześniej wyaresztować, ale jej się nie udało. Ja przedostałem się do katedry w towarzystwie mojej ciotki Medzi Kornikowicz, wnuczki Henryka Sienkiewicza, co jak mi się wydawało, jakoś miało mnie chronić. Założyłem płaszcz kobiecy i przez zakrystię udało mi się wejść do katedry, mimo że sporo ludzi zatrzymano. Po mszy do Grobu Nieznanego Żołnierza poszła duża manifestacja z wieniec. Służba Bezpieczeństwa nas atakowała, szarpała, pamiętam, że lekko stłukli Lutka Dorna. Przy wyjściu na Świętojańską mnie też zahaczyli. Miałem zajęte ręce, bo trzymałem wieniec, Marian Piłka z dziewczynami trzymali szarfy. Te szarfy milicja nam zdołała wyrwać, ale wieniec utrzymałem, mam z tego powodu do dziś poczucie satysfakcji. Mając ręce uwiązane z powodu wieńca, skutecznie broniłem się nogami. Wciąż czuję smak zwycięstwa, gdy dobrze trafiony esbek zwinął się z bólu na chodniku...

Na szarfię widniał napis: „Jeszcze Polska nie zginęła”, na transparentach hasła: „Nie będzie Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej”, „Wolność i Demokracja. Żądamy wolnych wyborów”. Jak zaobserwowała SB, wieńce pod Grobem Nieznanego Żołnierza złożyli Wojciech Ziemiński – w imieniu żołnierzy RP i Armii Krajowej – oraz Bronisław Komorowski. W meldunku zapisano Pana wystąpienie: „Złożyliśmy przed chwilą wieniec w imieniu środowisk młodzieżowych, a więc tych, które rosły już w Polsce Ludowej bez niepodległości, i tych, którym jest w dalszym ciągu ta niepodległość bliska. Jesteśmy nadzieją Polski, jesteśmy nadzieją świata, jak mówił Ojciec Święty. Te słowa mieliśmy wypisane na transparencie, który nam został ukradziony przed katedrą. Ojciec Święty na tym placu wypowiedział słowa znamienne – nie może być Europy sprawiedliwej bez Polski niepodległej. To jest naszym celem, to jest naszym hasłem”. Były oklaski i skandowanie: „Jesteśmy twoją nadzieją”.

Gdy doszliśmy pod grób, było już ciemno. Przemawialiśmy kolejno – Czuma, Ziemiński, Józef Michał Janowski i na końcu ja. Moje wystąpienie było krótkie, co miało potem wpływ na wysokość kary, jaką dostałem, bo na rozprawie sędziego Kryże (późniejszy wiceminister sprawiedliwości w rządzie Jarosława Kaczyńskiego) powiedział: Komorowski mówił najkrócej i jest najmłodszy, więc dostał tylko miesiąc.

**Kilka dni po demonstracji, 16 listopada 1979 r., SB zanotowała: „Z całości informacji wynika, że figurant czuje się zaszczycony swoim wystąpieniem i faktem składania wieńca w czasie tej »manifestacji«”. Odebrał Pan też gratulacje od Macierewicza. W meldunku z podłuchu waszej rozmowy (14 listopada) zapisano: „Antoni Macierewicz chwalił Komorowskiego za jego wystąpienie, określając je jako »najlepszy tekst manifestacji«”.**

Rzeczywiście, w Warszawie zrobił się wokół tego duży szum. Pojawił się nawet wiersz o tych czterech, co przemawiali przy Grobie Nieznanego Żołnierza, więc rosnę w dumę. Władza też nas doceniła. Dostaliśmy wezwania na kolegium do spraw wykroczeń. Odbywało się to na Nowogrodzkiej, gdzie zresztą w marcu 1968 r. pierwszy raz w życiu dostałem pałą od milicjanta obywatelskiego. Na rozprawę przyszła cała opozycja, demonstrując solidarność z nami, był Jacek Kuroń, byli moi przyjaciele, m.in. Witek Górczyński, który w trakcie manifestacji rozwinął polską flagę. Była ciocia Medzia Kornilłowicz w charakterze świadka; powiedziała, że ona jako wnuczka Henryka Sienkiewicza jest pewna, że jej dziadek byłby dumny z takiego wystąpienia. Została wyproszona z sali rozpraw. Występował też wtedy w mojej obronie ks. Stanisław Małkowski. Pewnie coś mówił, jak zawsze, o czerwonych smokach...

**10 grudnia 1979 r. kolegium wydało wyrok: za zorganizowanie nielegalnego zgromadzenia i przemówienia lekceważące naród polski Czuma i Ziemiński zostali skazani na trzy miesiące aresztu, Janowski i Komorowski – na miesiąc. Był to jeden z nielicznych przypadków kary bezwzględnego aresztu w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. 23 stycznia 1980 r. odbyła się dziesięciogodzinna rozprawa re-**

wizyjna w Sądzie Rejonowym, której przewodniczył sędzia Andrzej Kryże. Świadek oskarżenia, funkcjonariusz MO Świerczyński, stwierdził, że jego uczucia patriotyczne zostały obrażone. Sąd podtrzymał orzeczenie kolegium, uznał oskarżonych za winnych korzystania ze środków masowego przekazu (głośników) bez zezwolenia, tamowania ruchu ulicznego oraz zachowania lekceważącego i obrażającego godność narodu polskiego. „Zdaniem sądu podnoszenie kwestii niepodległości przed Grobem Nieznanego Żołnierza było nietaktem i to właśnie narusza uczucia narodowe wielu Polaków” – pisano w uzasadnieniu.

Rok 1979 był rokiem opozycyjnych demonstracji. Do kolejnej manifestacji, czwartej w ciągu kilku miesięcy, jednak nie doszło. Organizowały ją w rocznicę Grudnia '70 grupa „Głosu” z KSS KOR, środowisko Andrzeja Czumy z ROPCiO i grupa Biblioteki Historycznej i Literackiej.

Bardzo ważnym katalizatorem, przyspieszającym eskalację manifestacji i w ogóle działań opozycji, był wybór papieża w październiku 1978 r. i pielgrzymka Jana Pawła II do Polski w czerwcu 1979 r. To był przełom w naszym zachowaniu, zyskaliśmy nieoczekiwanego, potężnego sojusznika. Nagle zobaczyliśmy, że są nas rzesze – ludzi podobnie odczuwających, że cele, które sobie stawiamy, takie jak niepodległość, są podzielane przez papieża, i że jesteśmy razem z resztą wolnej Europy. Finałem miała być manifestacja w rocznicę wydarzeń grudniowych 1970 r. Było to posunięcie o tyle nowe, że podczas gdy poprzednie demonstracje odwoływały się do rocznic z odległej historii, ta wymierzona była bezpośrednio w rządy komunistyczne i ekipę Gierka, w której nadal byli ludzie odpowiedzialni za tamtą masakrę. Aresztowano nas wtedy chyba głównie dlatego, że obawiano się, iż opozycja przechodzi od swego rodzaju polityki historycznej do spraw bliższych, takich jak odpowiedzialność poprzedniej i obecnej ekipy rządzącej.

### **Czy wiązał się z tym także zamiar powołania nowego ugrupowania opozycyjnego?**

W pewnym sensie tak. My jako BHiL widzieliśmy swoje miejsce pomiędzy KOR-em a Ruchem Obrony. Ja współpracowałem z KOR-em od samego początku, a Janek Dworak, Piotrek Krawczyk i Marian Piłka należeli do ludzi sfrustrowanych kłótniami i konfliktami w Ruchu Obrony. Postanowiliśmy odciąć się od kłótni starych, od ciągłych sporów między Ziemińskim a Moczulskim, między Moczulskim a Czumą, od konfliktów w redakcji „Opinii”, której członkiem był Dworak. Najpierw więc założyliśmy własną inicjatywę wydawniczą, potem wyszliśmy z ideą demonstracji ulicznych jako elementem religijno-patriotycznych obchodów rocznic narodowych jednoczących ludzi o różnych sympatiach opozycyjnych. Trzecim punktem tej strategii miało być budowanie szerszego środowiska, z zamysłem przekreślenia różnic, głównie natury personalnej, które niszczyły opozycję. Stąd pomysł zorganizowania razem demonstracji grudniowej.

Rozgrywało się to także w kontekście konfliktu, jaki zaznaczył się w KOR-ze między grupą „Głosu” a tzw. lewicą laicką, czyli grupą Jacka Kuronia i dawnych „komandosów”. Ten konflikt wydawał się zbudowany wedle schematu odpowiadającego wyborowi ideowemu, który legł u podstaw naszego zaangażowania w Ruch Obrony Praw Człowieka

i Obywatela, tzn. stosunku do niepodległości i stopnia ostrości stanowiska antyrządowego i antykomunistycznego. Tak ocenialiśmy to z zewnątrz, naturalne więc było nasze zbliżenie ze środowiskiem Antka Macierewicza i projekt zrobienia czegoś razem. Grupa „Głosu” zareagowała pozytywnie na projekt wspólnej demonstracji grudniowej, który wyszedł od nas. Zorganizowana miesiąc wcześniej manifestacja w Święto Niepodległości bardzo się udała, więc uważaliśmy, że trzeba iść za ciosem.

Demonstracja grudniowa nie mogła się odbyć na tradycyjnym szlaku między katedrą a Grobem Nieznanego Żołnierza, bo proboszcz katedry św. Jana odmówił odprawienia mszy w intencji robotników pomordowanych w grudniu 1970 r. Andrzej Czuma miał zamówić mszę w kościele ojców kapucynów. Wydawało się nam, że załatwił na to zgodę kościelną, a tymczasem on po prostu w zeszytce w zakrystii dopisał drugą intencję mszalną do mszy za jakiegoś zmarłego. Uważał, że jako członek Kościoła nie musi tego uzgadniać z duchowieństwem. Nie poinformował więc ani władz kościelnych, ani parafii, że mamy zamiar zrobić po mszy demonstrację polityczną. Nam też nie powiedział, że tego nie załatwił.

Jak zwykle, podzieliliśmy się rolami. My zajmowaliśmy się rozwieszaniem klepsydr i zawiadomień o mszy, przygotowaniem wieńców, flag i pochodni. Pochodnie załatwiłem od mojego szczerpu 208. Warszawskich Drużyn Harcerskich i Zuchowych im. Batalionu Parasol. Czuma miał zorganizować nagłośnienie od jakiejś grupy pielgrzymkowej. Do przygotowań włączyła się także grupa Macierewicza.

**Odnaleziony przeze mnie w archiwum IPN-u donos ze spotkania Czumi i Macierewicza 8 grudnia mówi o planach powołania nowego ugrupowania opozycyjnego. Wedle SB miało się nazywać Centrum Demokratyczne<sup>4</sup>.**

Coś było na rzeczy. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, też byłem w to zaangażowany. Faktem też było oświadczenie podpisane przez trzy środowiska – „Opinii”, „Głosu” i BHiL. Prowadziliśmy rozmowy o tym, by zbudować jakąś podstawę wspólnego działania, ale chyba nie był to zamysł aż tak bardzo konkretny. Być może jakieś znaczenie miał przykład KPN-u jako partii politycznej. Ale nie podjęto decyzji, aby doprowadzić do powstania nowej struktury. Świadomym zamysłem było natomiast, by przez nową formę opozycyjności, czyli demonstracje, w tym wypadku demonstrację związaną z sytuacją bieżącą, a nie odległą historią, budować nową jakość relacji między środowiskami opozycyjnymi. Istotne było, że robimy coś razem. Dla mnie było więc szalenie ważne, że znaleźli się w tym ludzie z KOR-u.

**W waszej wspólnej ulotce pt. „17 grudnia 1970 – 17 grudnia 1979”, opublikowanej w „Opinii” i „Głosie”, zawarty był jednak zarys program politycznego. Śmierć robotników – pisaliście – „pozostaje symbolem walki Polaków o Wolność, Równość, Niezawistość”. Przywoływaliście prawo do współzrządzenia własnym krajem. „Jesteśmy przekonani, że nie można podejmować decyzji gospodarczych i politycznych bez zgody narodu, że wolne związki zawodowe, swoboda zrzeszania się to gwarancja ładu demokratycznego, że tylko wolność słowa zapewni prawdę w życiu społecznym,**

<sup>4</sup> AIPN, 0256/442, t. 7, Informacja operacyjna, 9 XII 1979, k. 9–11.



**że Niepodległość to wartość, do której Polacy muszą dążyć”. Jako cel wskazywaliście „Sejm wybrany w wolnych wyborach”. Pana podpis figuruje na pierwszym miejscu, obok Mariana Piłki. Ze środowiska KOR-u tekst sygnowali Antoni Macierewicz, Piotr Naimski, Urszula Doroszevska i Ludwik Dorn, z ROPCiO Andrzej Czuma, Wojciech Ziemiński, Emil Morgiewicz i Kazimierz Janusz.**

Podpisy ułożono w trzech kolumnach, było czytelne, że sygnatariusze pochodzą z trzech środowisk. Ja z Piłką reprezentowaliśmy Bibliotekę Historyczną. Postawienie postulatu wolnych wyborów do sejmu oznaczało świadome eskalowanie celów opozycji.

Rocznica grudniowa była dla nas ważna także dlatego, iż byliśmy przekonani, że trzeba przełamać tradycję odrębnych buntów robotniczych i inteligenckich. Była to szansa zmanifestowania woli wspólnego działania. A także okazja do zaatakowania władz komunistycznych, odpowiedzialnych za tę nieodległą w czasie zbrodnię.

**Miał Pan być jednym z mówców podczas manifestacji pod pomnikiem Kilińskiego zaplanowanej na 17 grudnia, po mszy w kościele kapucynów. Ale 14 grudnia do waszego mieszkania wkroczyła Służba Bezpieczeństwa. Łupem rewizji padło wiele egzemplarzy prasy niezależnej i papier, a Pan został aresztowany pod zarzutem udziału – napisała prokuratura – „w związku określającym się jako »ruch obrony praw człowieka i obywatela«, którego celem jest działalność przestępcza polegająca na rozpowszechnianiu wydawnictw pozbawionych debitu komunikacyjnego”. W aktach odnotowano, że podejrzany odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień. Zatrzymano wówczas blisko dwieście osób w całej Polsce, kilkanaście otrzymało sankcję prokuratorowską i zostało aresztowanych. Wielu sądziło, że władze szykują się do rozprawy z opozycją. Pan też tak myślał?**

Tak. Pamiętam rozmowy na Rakowieckiej zaraz po aresztowaniu. W pierwszym momencie nas nie izolowano, siedzieliśmy po kilku w pokojach i bodaj Adam Wojciechowski mówi: „A co nas będą tu trzymać? Mamy prawo wyjść na korytarz”. Wyszliśmy na korytarz, policja nie wiedziała, co robić. Może nie mieli tylu strażników? Na tym korytarzu zrobił się nagle opozycyjny konwentykiel kilkunastu osób – w areszcie śledczym! Wymieniliśmy poglądy na sytuację. Ja byłem przekonany, że poszliśmy, jak to się mówi, po bandzie, zaatakowaliśmy pierwszego sekretarza partii, obecną ekipę władzy i oni nam oddadzą. Że idą na zaostrenie polityki wobec opozycji. Tym bardziej że skala aresztowań była bardzo duża, objęła także kolegów z lewicy korowskiej, niezaangażowanych w planowaną demonstrację.

Gdy już nas zabierali z korytarza, chyba Antek Macierewicz krzyknął: „Chłopak, od niedzieli (jeśli dobrze pamiętam) głodówka!”. Było mi w to graj, bo to był następny stopień wtajemniczenia opozycyjnego, więc myślę sobie: w porządku. Zamknęli mnie w celi bez żadnego kolegi z opozycji, tylko z jakimś cinkciarzem, który prawdopodobnie był donosicielem. On dostał paczki na święta, więc nieźle sobie podjedliśmy, a ja odliczałem dni do głodówki.

Nadszedł ten dzień. Rozpaczynam głodówkę, bohatersko nie zjadłem śniadania, szykuję się do demonstracyjnego niezjedzenia obiadu, a tu raptem wzywają mnie do oficera

śledczego. Wchodzę do niego, a on zza biurka: „No, znowu się wam, k...a, udało! Znowu musimy was wypuścić, ale następnym razem was dorwiemy”. Daje mi druk o zwolnieniu, bez zamknięcia śledztwa, tylko zwolnienie z aresztu tymczasowego. Wychodzę zdumiony z pokoju, wypuszczają mnie z więzienia, na ulicy Rakowieckiej natykam się na kolegów, też już zwolnionych. Ale widzę, że niektórzy kiepsko wyglądają, jacyś tacy szarzy, zmęczeni. Podchodzę do Antka Macierewicza, a on pyta: „No jak, głodowałeś?”. „Głodowałem” – odpowiadam. I dopiero wtedy się zorientowałem, że oni głodowali od pierwszego dnia. Do dziś nie wiem, czy mam zaliczoną tę głodówkę, czy nie...

**Zwolniono Pana 19 grudnia. W środowisku KOR-u sprawa niedoszłej manifestacji grudniowej, organizowanej w tajemnicy przed osobami spoza „Głosu”, wywołała wielki spór, omal nie doprowadzając do rozłamów komitetu. Macierewicz nie poinformował kolegów o planowanej demonstracji, która stanowiła zaskoczenie także dla Kościoła i osób przybyłych na mszę. Większość członków KOR-u uznała to za naruszenie obowiązujących w opozycji zasad. Czy w Pana środowisku także prowadzono dyskusje na ten temat?**

Oczywiście, mieliśmy pretensje do Czumy, gdy okazało się, że nie załatwił tego z Kościołem. Natomiast sygnały o sporze w KOR-ze na ten temat odczytywaliśmy jako potwierdzenie głębokich różnic ideowych w tym środowisku. Wzmocniało to nasze sympatie do grupy „Głosu”, która była bardziej radykalna, bardziej jednoznaczna w kwestii oceny władzy komunistycznej i skłonna wpisać się w nasz projekt działania politycznego za pomocą demonstracji. Patrzyliśmy też z pewnym zdziwieniem, jak ludzie z lewicy laickiej troszczyli się o to, by Kościół nie został uszkodzony. Ta troska była wówczas dla nas mało przekonująca. Wydawało się nam, że w sprawie Kościoła to my mamy więcej do powiedzenia, że jest on bardziej nasz. Mieliśmy przecież radykalnych księży po swojej stronie, takich jak Broniek Sroka czy o. Ludwik Wiśniewski. To był dla nas prawdziwy Kościół, który nie szuka kompromisu z komunistami, jest opoką także dla ruchów wolnościowych. Więc troska o to, czy popsuliśmy relacje opozycji z prymasem, do nas nie przemawiała. Naturalnie, Kościół miał prawo poczuć się potraktowany instrumentalnie. To był błąd Andrzeja Czumy, tak się takich spraw nie załatwia.

Wedle mojej pamięci wspólna deklaracja trzech środowisk była naszą inicjatywą. Za nią nie szedł projekt budowania partii, ale zamysł tworzenia pomostu między środowiskami niepodległościowymi wywodzącymi się z ROPCiO i grupą z KOR-u wrażliwą na te same wartości. Jaka była pointa tego wydarzenia? Nieudana demonstracja oznaczała, że obie strony – i władza, i opozycja – zalcycowały wyżej. My przygotowując wystąpienie przeciwko ekipie rządzącej, oni – wręczając na skalę relatywnie masową sankcję prokuratorów. Rzecz w tym, że oni nas wypuścili, więc musieli się w pewnej mierze wycofać, a my nie zrezygnowaliśmy z robienia demonstracji, choć z tej konkretnej – tak, bo się po prostu nie udało. Ocenialiśmy tę sytuację następująco: jak się idzie ostro, to oni się cofają. Bo przecież sankcje nie odegrały zaplanowanej roli – nie zastraszyły nas, choć śledztwo trwało. Ja się w ogóle nie interesowałem, co się z tym śledztwem dzieje, nas to w ogóle nie obchodziło. Toczy się jakaś sprawa – no i co z tego? Niech się toczy pięć!

To nie ma żadnego znaczenia. Wiadomo, że na końcu albo my wygramy, albo oni nas zgnoją w więzieniu. Taki był stan ducha.

Gdy dzisiaj myślę o tej niedosłej demonstracji, to istotnie, widzę w tym pójście po bandzie, ale gdybyśmy się przed tym cofnęli, to za chwilę zrobiliby to ktoś inny. Był już przecież KPN, dawały o sobie znać nastroje radykalne także w Komitecie Obrony Robotników. Eskalacja była przesądzona. Zresztą skłonność do zaostrzania metod działania jest rzeczą typową dla środowisk rewolucyjnych. Dochodziło też do swoistej licytacji w tej mierze. Utrzymywało się to jednak w pewnych ramach, nie sięgaliśmy po środki przemocy, typowe przecież dla rewolucji. My zawsze demonstrowaliśmy pokojowo.

**Tym niemniej dostaliście wyroki więzienia za demonstrację listopadową, co było precedensem w polityce wobec opozycji.**

Tak, to też była nowa jakość. Z wykonaniem tego wyroku były kłopoty, bo nie chcieli mnie przyjąć do więzienia na Służewcu. Dostałem termin, w którym miałem się zgłosić do odbycia kary. W oznaczonym dniu poszliśmy tam całą grupą kolegów z rodzinami i przyjaciółmi, ale mnie do więzienia nie przyjęli. W końcu odsiedziałem ten miesiąc, ale głównie w więzieniu w Pułtusku. Przewieziono mnie tam ze Służewca prawdopodobnie dlatego, że tu spotkałem dawnego kolegę, który siedział za pobicie milicjanta w knajpie. Był kalifaktorem, roznosił zarcie. Poznaliśmy się, dostałem od niego więcej zupy, ale straż się zorientowała, że mam „swojego” człowieka funkcyjnego w więzieniu. Pułtusk to stare więzienie w budynku poklasztornym, trafiłem tam do celi grypsującej, co było rzeczą niepraktykowaną i dość nieprzyjemną. Po jednej nocy przenieśli mnie jednak do celi ze starszymi kryminalistami, ale nie bandytami. Siedziałem tam z księgowym (więziennym donosicielem), z hydraulikiem włamywaczem i z kierowcą, który ukradł z zakładu jakieś lampy.

**Z więzienia wyszedł Pan 5 maja 1980 r. Resocjalizacja nie bardzo się udała. 14 sierpnia, w dniu rozpoczęcia strajku w Stoczni Gdańskiej, składaliście wraz z Wojciechem Ziemińskim z Komitetu Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu i działaczami KPN-u wieńce na Grobie Nieznanego Żołnierza z okazji rocznicy „cudu nad Wisłą”.**

Tego dnia składałem też razem z żoną kwiaty na kwaterze Orłąt Lwowskich na Powązkach.

---

Od redakcji: Drugą część rozmowy z Bronisławem Komorowskim, obejmującą czasy Solidarności, opublikujemy w następnym numerze „Wolności i Solidarności”.

---